Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 10.** Leszno, dnia 3. Września 1836.



Widok angielskiego ogrodu Zofijówki w Tulczynie.
(Z podróży Hrabi Raczyńskiego do Turcyi.)

Zofijówka.

Gdzie Sielnica z Tulczynką strugi czyste sączy,
Hymen twoje z Zofią przeznaczenie złączy.
Imię jéj tym dasz miéjscom . . .
A na powinny dla mnie dodatek ofiary,
W roskoszne zamień sady te niezgrabne jary,
Własnéj ku budownictwu nie żałując dłoni,
Poznaczę ci abrysy grotem mojéj broni . . .
Tu, gdzie się w amfiteatr wyższe łączą góry,
Wznieś mieszkanie dla naszéj przyjaciołki Flory;
Tam daléj pysznym rzędem koryntska kolumna,
Niechaj dźwiga świątynię kochanki Wertumna.
Nie jest ona niewdzięczną, jéj opłatnym darem,
Giąć się będą jesiennym gałęzie ciężarem.
Tam, gdziebyś miał rozrywkę ty i twoje dziatki,
Z tajoną wspaniałością porozsiewaj chatki.
Zrobisz jezioro, w które Wilgi kryształ zlany,
Może nosić nazwisko zwierciadła Diany.
Zrób, nie zrób, co ci prędzéj myśli radzą chętne . . .
Te umowy rzetelność iścić każe święta,
Ztąd dane Zofijówce i wzrost i przynęta.
Łamanych skał rządniéjsze poczyniwszy składy,
Mieszkać na nich zamorskie wezwano dryady.
Robota trwa bez granic, a po każdéj wiosnie,
Zawsze coś pamiętnego zdobieniem przyrośnie . . .
Stworzenie wszędy świeże poznawa źrenica,
To mnie bawi, to cieszy, to oko zachwyca:
Chudą piérwéj golizną świecące pagórki,
Z daleka przeniesione pocieniły borki,
Gdzie między krajowemi umieszczone drzewy
Są z Libanu, z Atlasu, z Antipodów krzewy . . .
Pójdę tam, gdzie gwałtownym rzeka lecąc szumem;
Gdy słuch zaprząta brzękiem i wejrzenie bawi,
Zbyt ściśnionemu sercu jakąś ulgę sprawi.
Dostatek, moc przemysłu i sztuka rzemiosła,
Bliższe wody ściągnęła, złączyła, podniosła.
Z nich kaskady, fontanny, z nich obrazy szklane,
Płyną, skaczą i błyszczą, pod wagą rozlane.
Ale przemogła insze ogromna kaskada
Którą, od siebie większą Kamionka wypada,
Rozścielać się, nurkować, czy piąć się na głazy,
Wzięte posłuszna Nimfa dopełnia rozkazy.
I mimo praw swéj równi, służąc do igrzyska,
Albo ryje otchłanie, albo w obłok tryska.

O pięknem ogrodnictwie.

Nie zawsze ulega człowiek troskom kłopotliwego życia: są chwile, w których unikając mozołów i pracy mniéj wdzięcznéj, nadobniéjszych dosięga celów; a w każdym razie może z praktycznym użytkiem połączyć umysłową roskosz, co duszę jego skołataną ująć i ukoić zdoła. Wszakże uczucie piękności jest nam wrodzone: acz nie tak nieodzownie do szczęścia potrzebne, jak zamiłowanie cnoty i prawdy; jednak nie mało kształci umysł, duszę uszlachetnia, i wdzięcznością ku Stwórcy napawa. Starannie tego uczucia strzeżemy w dziecku, powtarzając mu przepisy przystojności, czyli pięknych form towarzyskich; ćwicząc je późniéj w starożytnych literaturach, wszędzie cechę piękności wskazujemy; aż wreszcie w młodzieńczym wieku, obudzi się sama przez się owa miłość nieprzeparta do wszystkiego, co jest pięknem, tak w sztuce, jak w przyrodzeniu. Jakiż to zapał w nim niecą i czyny bohaterów, i wielkie zjawiska natury! ogarnia go urok tego życia piękności, co na tle obrazów mu świeci, harmonia rzeźbiarskich i budowniczych wymiarów zakreśla, a melodya dźwięków wydaje. Jest to uczucie wspólne młodzieńcom i młodzieńczym narodom; w obu budzi natchnienia wieszcze; odzywający się geniusz rodzi wielobarwną mythologią, lub piękną zorzą ustraja kolebkę ludu.

Były wszakże narody, które szczególniéj rozwinęły to uczucie; zostawiły nam w puściźnie swe bajeczne podania, swe historyczne pomysły, swoje mistrzowskie rzeźby; zakreśliły przepisy smaku i kształtnego układu; inne zaś mniéjszą ilość swoich piérwotnych pomysłów tego życia, z samych siebie wylanego, następnym przekazały wiekom; atoli wszystkie, od szczytnych wieszczów indyjskich Wedów, do tych walecznych Kleftów, co dopiero skruszyli jarzmo tureckie, jednem uczuciem piękności pałając, stopniowo je rozwijają, sztukę piękną jednę po drugiéj tworząc. Architektura już dawno kwitła, nim powstało rzeźbiarstwo, a z niém taniec, dźwiękiem muzycznym mierzony, poszedł społy; malarstwo długo było igraszką kolorów, nim je średnie wieki na szczytnym postawiły szczeblu, a wraz z nim odnowiły architekturę, zamieniając jéj piérwotną rzeźbiarską prostotę, na malowniczą rozmaitość gotycką; wreszcie i muzyka, przez tyle wieków w obrębach jednorodnych modulacyi ściśnięta, genialnością naszych ojców nowemi zbogacona kształty, w szerokim swym zakresie pozwala nam ubiegać się o pierwszeństwo z klassyczną starożytnością i z romantycznemi średniemi wieki. Nie wspomnę tu o owym odwiecznym odgłosie żyjących i zmarłych narodów, muzykalnym obrazie ich życia, słowem o poezyi; albowiem w zmiennych swych zakresach, była ona zawsze towarzyszką, powiernicą i zwierciadłem spółczesnego stanu towarzyskiego; lecz nad tą piękną sztuką w szczególności zastanowić się chcę, którąśmy obecnie stworzyli, nad ogrodnictwem, jako sztuką piękną, nam najwłaściwszą, a poprzednikom naszym nieznaną i obcą.

Już dzisiaj ogrody przestały być próżnym do domów i pałaców dodatkiem. Jako architektura gospodarcza umiała budowle okryć barwą mistrzowskiéj piękności, i zdaje się przeznaczać swe dzieła jedynie na zadowolnienie uczucia piękności; tak i ogrody zdołają wyrazić malownicze pomysły ziemskiego ich twórcy; a te, co niegdyś szczyciły się z bujnéj urodzajności roślinnéj, pracą, potem człowieka wywołanéj, stają się teraz nie mniéj żyznem polem, gdzie nie tylko pot jego czoła wyśledzasz, ale i myśl z tego czoła przej-

rzysz, przybraną w barwę otaczającéj, jéj znamieniem napiętnowanéj natury; lecz zwróćmy uwagę na przeszłe ogrodnictwa dzieje, aby ocenić teraźniéjszy zakres téj sztuki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dzień żniwny.

(Dokończenie.)

Burza.

Tymczasem Jowisz *) po smacznym obiedzie,
Który dla Bogów dawał w dniu tym w niebie:
Woła wiernego Merkura **) do siebie,
I mówi: że się na spacer przejedzie.
Ale że upał dogrzewał dzień cały:
Więc sobie ubiór kazał dać latowy.
Nimfy na wyścig ciachciary mu wdziały,
Westkę pikową, spencer kamletowy
Z brylantowemi guzami.
Na głowę, zamiast korony,
Włożył kaszkiecik zielony,
I wzuł ciżmy z ostrogami.
Juno ***) do apteczki wpadła,
I, co w dwie garscie zdołała,
Karmelków z słoja porwała,
I w kieszonki mu nakładła.
Merkury się zwinął żwawo,
Okulbaczył siwą chmurę;
Wziął przy pysku ręką prawą,
I wprowadził aż na górę.
Hebe ****) nektaru pełny dzban nalała,
I Panu Niebios, gdy wsiadał, podała.
Wychylił gładko, a mąty i młodzie,
Co były na dnie i ściekły po brodzie,
Dostał w nagrodę koniuszy Merkury,
Za potrzymanie strzemienia i chmury.
Wsiadł tedy Jowisz troszkę podchmielony,
I ruszył w galop z Olimpu ku ziemi;
Ścisnąwszy chmurę kolanami swemi,
Właśnie ją w owe nakierował strony,
Gdzie żniwiarze pracowali,
I mendele ustawiali.
Wpadły mu ludzkie te zabiegi w oczy,
Chciał im się zatém przypatrzyć do woli:
Stargnął więc chmurę, aby szła powoli;
Chmura posłuszna wolnym stępem kroczy.
Żniwiarze na widok chmury,
Zwijali się, jak mógł który.
A co więcéj: dla obrony,
Ażeby się nie zbliżyła,
I snopków nie pomoczyła:
Kazali uderzyć w dzwony. *****)

---

*) Jowisz, syn Saturna i Rhei, najwyższy Rządca Bogów, i Władzca piorunów.

**) Merkuryusz, Posługacz Bogów, a najwięcéj Jowisza, syn tegoż spłodzony z Mają.

***) Junona, małżonka Jowisza.

****) Hebe, córka Jowisza i Junony. Służba jéj w Olimpie była, nalewanie nektaru Bogom podczas biesiad.

*****) Jest zwyczaj dzwonić na rozpędzenie zbliżających się chmur. Doświadczenie naucza, że często dzwonienie takie pioruny sprowadza.

Odezwały się dzwonnice,
I wydały jęk głęboki,
Który zalał okolicę,
I sięgał w górne obłoki.
Hałas ten Jowisza głuszy:
Gniewa się, zatyka uszy:
W kulbace się rzuca, kurczy;
Grzmotliwie na ziemian burczy.
Ale im więcéj rzuca się na chmurze,
Tém więcéj trwoży stroskanych żniwiarzy:
Bo guzy *) jego ogień sieją w górze,
A strach strwożonych zwykle naprzód parzy.
Myśląc więc, że się istotnie już błyska,
I że prawdziwe grzmoty chmura ciska,
Coraz się więcéj trwożyli,
I tém mocniéj w dzwony bili.
To zaś Jowisza bardziéj znów oburza,
I przywodzi go do niecierpliwości;
Kwaśne już czoło tém srożéj zachmurza,
Klnie, i zaledwo nie pęka od złości.
Chmurę tak silnie ostrogami ściska,
Że pot rzęsisty **) z boków jéj wytryska.
A biorąc garścią karmelki z kieszeni,
Rzuca co siły na owe dzwonnice;
Ale w nich miota srogie błyskawice,
I piorunowych zarodę płomieni.
Juno się bowiem brzydko omyliła,
Gdy mu sypała cukrów garscie sute:
Bo mu w kieszonki karmelków włożyła;
Tych, co w Wulkana ***) kuźni były kute.

Pożar.

Tak zatém płomień dzwonnicę ogarnia,
A z niéj na kościół wkrótce się przenosi;
Pali się i dom księży, i owczarnia;
Xiądz krzyczy, biada! o ratunek prosi.
Lecz, na nieszczęście, gnuśnie stoją ludzie,
I nie biorą się wcale do obrony;
Bo doświadczone dowodzą matrony:
Ze prędzéj uśnie jadący po grudzie,
Prędzéj się piwo w chłodnym sklepie skwasi,
Niż piorunowy ogień kto ugasi. ****)
Przypadkiem przecie Xieni z Ołoboku,
Co powracała tamtędy z Sieradza,
Świętéj Agaty sól *****) wioząc w tłomoku,
Na myśl zbawienną lud głupi wprowadza.
Rzuca sól w ogień, a potém zawoła:
„Terazże, ludzie! ratujcie kto może!
Sól ta utłumić pożar ten wydoła:
Ale bez wody i rąk, niepomoże.“
Skoro się zatém rzucili
Do haków, siekier i wody,

---

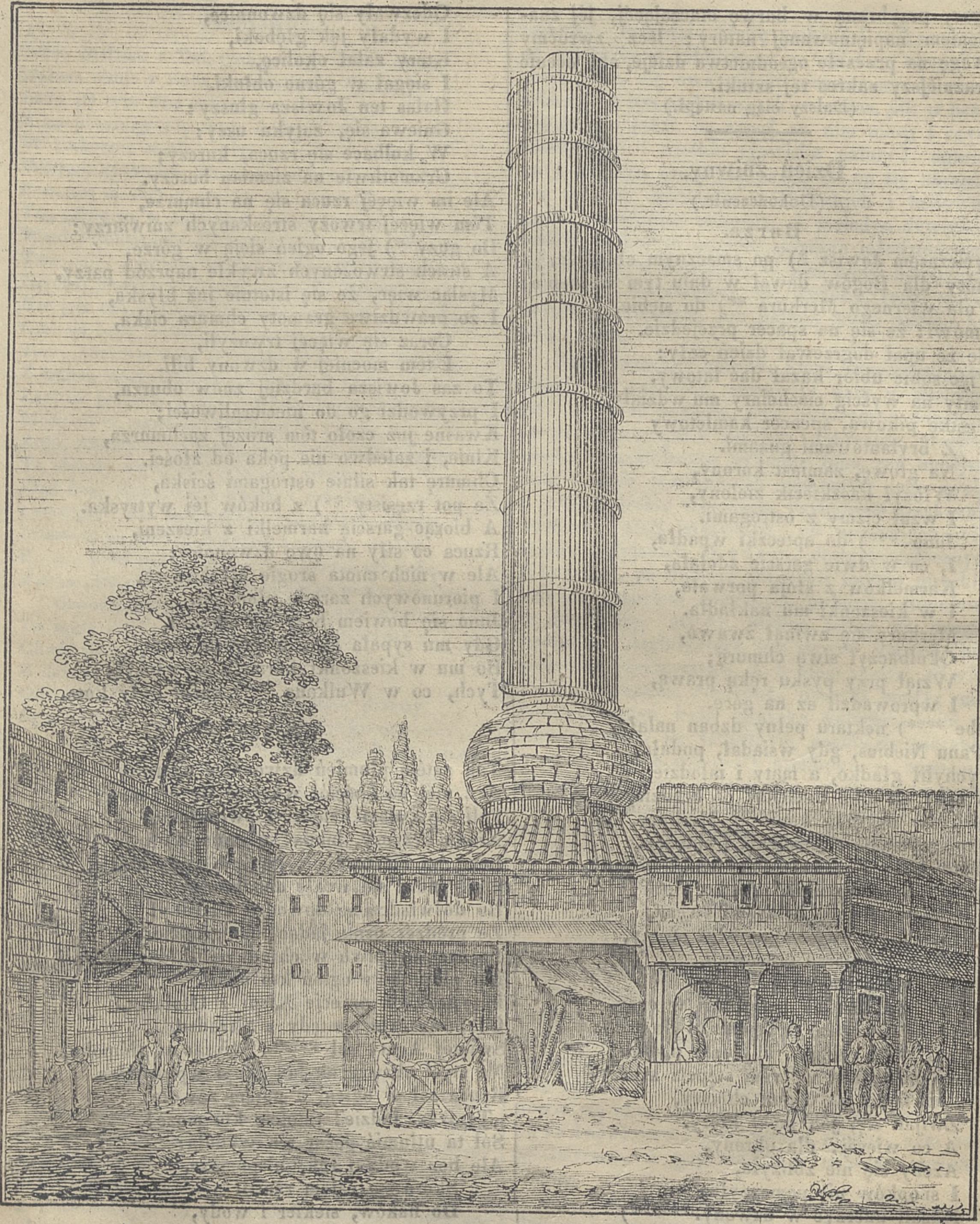
*) Guzy brylantowe u spencera, gdy się rzucał, wystawione przeciw światłu słońca, odbijały jego promienie i iskry sypały.

**) Deszcz.

***) Wulkan, Bóg ognia; Jowiszowi kuł pioruny.

****) Jest mniemanie gminne, iż piorunowy ogień ugasić się nie da.

*****) Sól Świętéj Agaty (w dniu jéj święta święcona) ma mieć tę własność, iż ogień gasi. Sól zwyczajna pryska w ogniu.



Widok kolumny porfirowéj w Konstantynopolu.

Co niepodobném mniemali być wprzódy,
To dokazali: pożar ugasili.
Na drugi zaś dzień, biegły organista,
Co był uważał wszystkie te zdarzenia;
Dla niemylnego rzeczy uwiecznienia,
Napisał wierszy z okładem czterysta.
Mnie się to pismo do ręku dostało,
I wypisałem, co mi się zdawało. N. K.

Widok kolumny porfirowéj w Konstantynopolu.

(Z podróży do Turcyi Hrabi Raczyńskiego.)

Konstantyn Wielki chcąc przyozdobić i uświetnić miasto, imię jego noszące, zbierał ze wszystkich części obszernego państwa posągi, obrazy i rzeźby najdoskonalszych malarzy i snycerzy



Błogosławiony Bogumił, Arcybiskup Gnieźnieński.

dawniejszych wieków. Na środku placu, forum zwanego, wystawił kolumnę porfirową, i na niéj wznieść kazał spiżowy posąg Apollina, przez Fidyasza robiony. Plac ten w ówczas tak wspaniały, upiększony posągami bogów i bohaterów dawnego Rzymu, dziś nędznemi, drewnianemi zabudowany jest domami. Kolumna atoli porfirowa dotąd się dochowała. Turcy ją spalonym nazywają słupem, z przyczyny pożarów, które część tę miasta tyle razy w perzynę obróciwszy, tak kolumnę nadpsuły, że ją kilkunastą obręczami żelaznemi opasać musiano. Ciężki kształt téj kolumny i nieforemne stósunki, nie mogły odpowiadać szlachetnym rysom bożka światła i nauk, którego sławny Fidyasz zapewne w całym blasku młodości i wdzięków wystawił. Za panowania Nicefora Botoniasesa w jedenastym wieku, piorun posąg ten zstrącił, i kolumnę znacznie nadwerężył. Podstawa słupa porfirowego tak jest domami otoczona, że pomimo usilnego mego starania, dostąpić do niéj nie mogłem.

Żywot błogosławionego Bogumiła, Arcybiskupa Gnieźnieńskiego.

W teraźniejszych czasach, tak słynnych z egoizmu i ubiegania się za światowemi tylko rzeczami, miło jest, a nawet pożytecznie, zwrócić myśl stroskaną w lepsze przeszłości wieki; przypatrzyć się owym wzorom żarliwéj pobożności i poświęcenia się bez granic. W tym celu skreśliliśmy dzisiaj w krótkości życie Błogosławionego Bogumiła, Arcybiskupa Gnieźnieńskiego.

Urodzony z Mikołaja Poraja, hrabi Libiceńskiego, kasztelana Gnieźnieńskiego, spowinowaconego z ś. Wojciechem, i Katarzyny herbu Gryff z Jaxów idącéj, a rodzonéj siostry Janisława, Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, w dziedzicznéj wsi Koźmino, niedaleko wsi Dobrowa i Uniejowa w województwie Sieradzkiém, odebrał pierwiastkowe wychowanie wraz z bratem swoim Bogufałem, w Gnieźnie. Tu kształcąc się przez czas niejaki pod okiem ś. Ottona, późniéj Biskupa Bambergskiego, wysłany został z bratem do Paryża. Za powrotem do kraju, Bogufał wstąpił do zakonu Cystersów, a Bogumił całkiem bogomyślności i miłosiernym uczynkom oddany, część dóbr swoich po śmierci rodziców dla probostwa w Dobrowie przeznaczył, i tamże kościół na cześć Trojcy ś. z jodłowego drzewa na wzgórku, między Wartą a Nérem, wystawił. Niebawem sam zostawszy xiędzem, za naleganiem Arcybiskupa, umiejącego ocenić jego piękne przymioty duszy i serca, objął zarząd wystawionego przez siebie kościoła dobrowskiego. Tu to obszerne dla cnotliwego kapłana otworzyło się pole. Pozyskawszy miłość i przywiązanie parafian swoich, całkiem się dla ich dobra poświęcił; a obok zwykłych obowiązków kapłana, ubóstwo głównym było przedmiotem pieczołowitości jego. Wkrótce potém na dziekana w archikatedrze gnieźnieńskiéj powołany, tak umiał obowiązki pasterza z obowiązkami kanonika pogodzić, że w główniejsze święta zwykle z Gniezna do Dobrowa, o 15 mil drogi na nabożeństwo zjeżdżał. *)

Po śmierci Janisława, Bogumił na godność Arcybiskupa wyniesiony został 1167 roku. Zostając na téj godności, nie zmienił bynajmniéj surowości życia. Codziennie kilka godzin modlitwie i rozmyślaniu poświęcał, a resztę czasu rannego trawił na sądach owieczek swoich, mia-

*) Damalewicz w żywocie błogosławionego Bogumiła, w Rzymie roku 1661, w łacińskim języku wydanym, przytacza cud następujący: Przybycia pasterza swego, zwykli byli parafianie oczekiwać na brzegu rzeki Warty, która na wiosnę i jesień nadzwyczajnie przybierając, do kościołka, na wysepce zbudowanego, przystęp utrudzała. Ś Bogumił, ufny boskiéj pomocy i najświętszéj Panny, suchą nogą po wierzchu wody przechodząc, na wyspę się dostawał, i lud wierny za sobą przeprowadzał. A odprawiwszy tamże nabożeństwo, tąż samą drogą z parafianami, na przeciwny brzeg rzeki, suchą nogą przechodził; gdzie stanąwszy, ryby w imię boskie na jego rozkaz zgromadzone, przytomnym rybakom chwytać, i pomiędzy pobożne tłumy dzielić kazał; resztę puszczał w wodę, dając im swoje błogosławieństwo (zob. obrazek). Poczém tegoż dnia na obiad do Gniezna zjeżdżał.

nowicie wdów i sierót, a zwiedzając dyecezyą swoję, sam dzieci i ludzi prostych artykułów wiary nauczał. Z dochodów biskupich podupadłych ludzi chętnie dźwigał, ubogich wspierał i wielu kleryków na stole swoim utrzymywał i do nauk zachęcał. — Klasztór X.X. Cystersów w Koronowie założył; pięć wsi dziedzicznych temuż zapisał i dziesięcinę z czternastu innych naznaczył. Podobnież i klasztorowi Lubińskiemu niektóre dziesięciny w powiecie nakielskim nadał. Czyn takowy Bogumiła nowym jest dowodem, jak nic użytecznego uwagi jego nie uszło, bo świadomemu dziejów nietajno, że klasztory w owych czasach były prawdziwym przybytkiem nauk i przytułkiem kształcącéj się młodzieży. — Na posady kościelne dobierał ludzi uczonych i przykładnych, a dla zapobieżenia szerzącemu się złemu, za panowania Mieczysława Starego, złożył synod wszystkich Biskupów w Łęczycy. Lecz, gdy mimo wszelkich zabiegów, nie mógł zdzierstw i łupieztw możniéjszych ukrócić, i tego do skutku doprowadzić, czego cnotliwe jego serce tak gorąco pragnęło, udał się do Alexandra III., Papieża, natenczas w Wenecyi mieszkającego, i na ręce jego urząd swój Arcybiskupi złożył; sam zaś za powrotem do ojczyzny, w bliskości ulubionego Dobrowa, na puszczy, pustoletnicze wiódł życie, gdzie także dnia 10. Czerwca 1182 roku, po dwunastoletnim pobycie, umarł. Ciało jego złożono naprzód w kościele Dobrowskim, gdzie się zaraz lud nabożny do grobu jego tłumnie zgromadzać zaczął. Lecz gdy kościół ten z czasem podupadać zaczął, wystawiono z ofiar i jałmużn zewsząd znoszonych, murowany kościół w Uniejowie, dokąd 1667 roku Mikołaj Prażmowski, Arcybiskup Gnieźnieński, ciało błogosławionego Bogumiła przeniósł, i pięknym nagrobkiem uczcił. (Obszerniéjszą wiadomość o tym świętobliwym mężu znajdzie czytelnik w dziełku: Vita S. Bogumili a Stephano Damalewicio, Romae 1661; zkąd i rycina wyjęta; w témże samém dziele po polsku przez X. Bartłomieja Sokołowskiego w Kaliszu 1806 roku, i w dziele pod tytułem: Matka Świętych Polska etc., przez X. Floryana Jaroszewicza. Kraków 1767). C...

Zakony rycerskie.

(Dalszy ciąg.)

Dnia 13. Października 1307 roku rano Wielki-Mistrz i wszyscy Templaryusze, mieszkający przy nim w Paryżu, z rozkazu króla Filipa nagle jednéjże godziny uwięzieni zostali, podczas, gdy w tymże samym czasie wszyscy inni bracia zakonu, znajdujący się po różnych stronach Francyi, podobnegoż doznali losu. Ledwo pojmanych okuto w ciężkie kajdany, pałac Wielkiego-Mistrza zabrano na skarb królewski: a wydana do ludu odezwa, wystawiła ich jako potwory bezbożności i zbrodni, których czyny i sama obecność plamiły ziemię i zarażały powietrze. Cały lud następnie wzywany był natychmiast do ogrodów królewskich, gdzie wyznaczone na to osoby, opowiadać miały w szczegółach wszystkie niesłychane Templaryuszów występki. Próżniacza tłuszcza zbiegła się zewsząd i napełniła naznaczone miéjsce, gdzie stojący tu i ówdzie na podwyższeniach mówcy, zręczném wystawieniem rzeczy, i sztuką wymowy, jątrzyli umysły narodu przeciw już wskazanemu na zgubę zakonowi.

Pierwszymi oskarzycielami Templaryuszów byli dwaj bracia, z ich własnego zakonu, za niesforność i różne występki, wyrokiem Wielkiego-Mistrza na wieczne więzienie skazani. Z tém wszystkiém, ustanowiony przez króla sąd, świadectwo ich uznał za ważne, ich samych od wszelkiéj kary i od ślubów uwolnił, a król sam, oprócz tego, hojne im nagrody przeznaczył. Dodać jednak potrzeba, iż wkrótce obaj jednostajną, a godną czynów swych śmiercią zginęli: jednego powieszono, drugi sam się powiesił.

Samo oskarzenie w najgłówniéjszych swych punktach nie tylko prawdzie, lecz wszelkiemu prawdopodobieństwu i rozsądkowi przeciwne, stósowane było widocznie do wyobrażeń i przesądów ówczesnych gminu, aby tym sposobem wszystkie serca i umysły przeciw oskarzonym poburzyć. Zarzucano im n. p. świętokradztwo i czarno-xięstwo; bezbożność i nienawiść chrześciańskiéj wiary. Obrządki ich przy wprowadzeniu do towarzystwa nowego członka, miały być, jak powiadano, zbrodniczą mieszaniną rozpusty, bluźnierstw i bałwochwalstwa. Nowo wprowadzony wyprzysięgał się naprzód wiary i imienia Zbawiciela, deptał jego obraz na krzyżu, a nakoniec oddawać musiał cześć ogromnéj jakiéjś głowie drewnianego bałwana z długą brodą. Wszystkie te i tym podobne zarzuty, dziś wzgardę tylko lub śmiech wzbudzające, najprędszą wtedy u gminu znajdowały wiarę. Nasadzeni na zgubę Templaryuszów zdrajcy, którzy kilku tygodniami, lub zaledwo kilku dniami pierwéj umyślnie do zakonu wstąpili, popierali świadectwem swojém wszystkie najdziwaczniéjsze punkta. Niektórzy tak daleko zaszli, iż twierdzić śmieli przed sądem, że sami na własne oczy widywali na zgromadzeniach zakonu szatana, w postaci czarnego kota, któremu wszyscy członkowie na kolanach cześć oddawali. Dość byłoby na podobnéj bajce oświeconym i bezstronnym sędziom, by w oskarzycielach poznać potwarców, a tém samém oskarzonych oczyścić. Lecz sędziowie, przez króla wybrani, nie zawiedli jego nadziei.

Po różnych stronach Francyi uwięzieni rycerze zakonu, skazani byli wszędzie na najcięższe tortury, aby ich tym sposobem do przyznania winy przymusić. Zatrzymanych w Paryżu, wraz z Wielkim-Mistrzem oddano całkiem pod władzę inkwizytora Imberta, spowiednika królewskiego, sławnego z gwałtownéj żarliwości, a więcéj jeszcze z okrucieństw; i polecono mu słuchać ich zeznań. Męczarnie, które on i siepacze jego dla

ofiar swych wymyślali, były tak srogie i tak długo trwające, że wśród nich 36 Rycerzy w ręku katów skonało. Inni, niezdolni nakoniec wytrzymać przedłużonéj boleści, przyznali się do wszystkiego, czego po nich żądano. W rzędzie ostatnich był sam Wielki-Mistrz Jakób Molay, pochodzący ze znakomitéj rodziny Burgundzkiéj, który przyjęty do zakonu w roku 1265, odznaczywszy się w nim równie cnotami jak męztwem w wojnach przeciwko niewiernym, podczas nawet swéj niebytności w Paryżu, Mistrzem zakonu jednozgodnie obrany został roku 1288, zeznał wzięty na męki, że się wyprzysiągł Chrystusa i że deptał krzyż jego.

Z tych jednak, co tak na chwilę słabości natury ulegli, większa część wkrótce żałowała swego postępku, i odwołała wyznania, gwałtem męczarni tylko wymuszone. Lecz nikt bardziéj nad Wielkiego-Mistrza nie potępiał sam swojéj słabości, i nieopłakiwał grzechu. Po dwóch latach ciągłego więzienia, w którém on i wszyscy Templaryusze obciążeni kajdanami jęczeli, a król tymczasem wszystkie ich dochody pobierał; wyznaczono nareście kommissyą do roztrząśnienia ich sprawy, która w roku 1309 w Paryżu posiedzenia swoje zaczęła. Stawiony przed nią Jakób Molay, odwołał i odprzysiągł poprzednie zeznania swoje, i przedsiewziął pierwszy stawać przed sądem w obronie zakonu i braci. Nazajutrz jeden z rycerzy, Tomsard de Gisi, co także na torturach przyznał się do wszystkiego, zapytany czy chce bronić zakonu, odpowiedział: „chcę i powinienem. Wszystkie czynione nam zarzuty, że się wypieramy Chrystusa, że depcemy krzyż święty, że oddajemy cześć bałwanom, że na schadzkach i zgromadzeniach naszych używamy czarno-xięzkich obrządków, wszystkie te i tym podobne zarzuty, zmyślone są i fałszywe. Przyznaliśmy się do wszystkiego, gdyż ciało nie mogło wytrzymać zadawanych nam mąk i boleści. Ja sam przez całą godzinę miałem tak skrępowane ręce jedwabnemi sznurkami, że krew kroplami występowała na paznogcie. Towarzysz mój Bernard Vado, trzymany był tak długo przed ogniem, aż ciało kawałami zaczęło odpadać od kości.“

Liczba rycerzy, którzy na wzór dwóch pierwszych, podjęli się obrony zakonu, doszła wkrótce do dziewięciuset; z tych 75 wybranych zostało, i z wiosną następnego 1310 roku, formalne rozpoczęły się sądy. Tymczasem król, widząc, że tym sposobem prowadzona sprawa, niepomyślnie dla niego zakończyć się mogła, postanowił samowolném wdaniem się swéj władzy, przeszkodzić jéj dalszemu biegowi. Jednego więc dnia, za natchnieniem królewskiém, brat ministra Marigni, mianowany niedawno Arcybiskupem Seneńskim, wydał rozkaz pojmania na nowo pięćdziesięciu czterech rycerzy, przeznaczonych na obrońców zakonu. Byli to wszyscy ci sami, co niegdyś na torturach, przyznawszy się do winy, odwołali swoje zeznania. Arcybiskup uważając ich za heretyków, powracających do błędów, skazał wszystkich, bez sądu, na spalenie na stósie. Nazajutrz wykonano wyrok. Przyprowadzonym na plac śmierci, gdzie już gotowe stósy czekały, ofiarowano w imieniu króla przebaczenie i wolność, skoroby dobrowolnie pierwsze swe zeznania znowu powtórzyć chcieli. Wszyscy tą razą z pogardą odrzucili hańbiącą łaskę, i ani łzy i prośby przyjaciół i krewnych, ani widok płonących w rękach katów pochodni, nie zdołały nakłonić ich drugi raz, do okupienia dni swoich fałszem i zdradą. Spłonęli, śpiewając wśród płomieni psalmy i pieśni nabożne, i oświadczając głośno do ostatniego tchu życia niewinność swoją i zakonu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika literacka.

Uwagi nad kołtunem.

(Dokończenie.)

Poczém już autor przystępuje do głównéj zasady całego pisma, wnosząc z poprzedzających uwag, że ze względu na części, które napada, czyli, iż jako lokalne cierpienie kołtun za właściwą włosów i paznogci razem uważamy chorobę; nie idzie przecież zatem, żebyśmy go mieli za osobną i istotną chorobę całego organizmu.“ Twierdzenie to zasadza na wiadomém postrzeżeniu: „iż żaden z lekarzy uważających kołtuna, nie był w stanie dotychczas dać historycznego obrazu przebiegu (decursus) téj choroby, z któregoby każdy dany mu w naturze pojedyńczy przypadek, z tą samą mógł rozpoznać łatwością, jak rozpoznaje zapalenie febry i t. d. Śmiało twierdzić można, że niepodobieństwem jest, podług dzisiéjszych zasad patologicznych, oznaczyć symptomata kołtuna, jako choroby pojedyńczéj, spencyonalnéj całego organizmu, bo on jako taka w naturze nie exystuje.“ Daléj twierdzi autor, że zwiedziwszy szpitale znacznéj części Europy, i poznawszy w praktycznym zawodzie kraj własny, przekonał się, iż w Polsce, gdzie się kołtuny okazują, nie masz ani jednéj specyonalnéj choroby, któréjbyśmy i w innych Europy częściach nie napotykali. Jedyna tylko w tém zachodzi różnica, że w Polsce przy wszystkich formach akutnych jako i chronicznych cierpień, w wielu pojedyńczych przypadkach akcessoryczne znajdujemy kołtuna zjawienie się, którego pospolicie w innych krajach nie napotykamy. Szczegółowa examinacya tak poprzedniego, jako i obecnego stanu zdrowia, jak najoczewiściéj wykaże, że nim zwicie się włosów nastąpiło, wyraźna jakakolwiek poprzedziła choroba, czyli to febra, czy zapalenie, czy jakakolwiek dyskrazya. Jeżeli po téj chorobie równowaga funkcyi organów naszego ciała przywróconą została, chorobliwa owa sekrecya włosów ustanie, włosy natenczas często odrastać zaczynają, i cały kołtun, jako ciało martwe, uciętym być może.“

„Obserwacye wszystkich lekarzy, utrzymujących, iż widzieli kołtun na osobach, które zupełnie zdrowemi były, są powierzchowne i niedostateczne.“

Rozróżnia następnie stan zdrowia, mówiąc, że bez wyraźnych choroby symptomatów, człek może nie być już zupełnie zdrowym, i nazywa to stanem przygotowawczym do choroby, czyli predyspozycyą. Następnie przechodzi różne formy czyli sposoby, któremi się kołtun w rozmaitych chorobach jako kryzys wywija. 1ód w chorobach akutnych, 2ro w chorobach zapalnych: tutaj przytacza postrzeżenie niektórych lekarzy, że dzisiaj nie tak często napotykamy kołtuny jak dawniéj, że ta choroba w znacznéj części swą gwałtowność straciła, i że z czasem zupełnie ustanie; zjawisko to niezaprzeczone przypisuje „upowszechnieniu w ostatnich pięćdziesięciu latach sztuki lekarskiéj: ztąd łatwiéjsza sposobność zaradzenia chorobom zaraz na początku, zapobiegania chronicznym onychże przedłużeniom, w skutku których krytyczne natury wysilenia przez sprowadzenie kołtuna spostrzegamy. Przecież to tylko wyłącznie do mieszkańców miast i to jeszcze klass możniéjszych się ściąga. Lekarze zagraniczni, którzy w czasie krótkiego swego w Polsce pobytu, rzadko kiedy mają sposobność zwiedzać chaty ubogich i mieszkania włościan, tamby się jeszcze i dziś o smutnych skutkach zaniedbania rozmaitych chorób, kołtunom zwykle przypisywanych, przekonać mogli. Ze istotnie uprzedzić można wywijanie się kołtunów, jako krytyczne poruszenie cierpień chronicznych, oczywistym dowodem są chorzy po lazaretach wojskowych, do klassy włościan należących, pomiędzy którémi rzadko kołtuny napotykamy.“ Autor przypisuje to energicznéj od samego początku kuracyi po lazaretach. Kończy uwagi swoje spostrzeżeniami, tyczącemi się przyczyn i sposobu leczenia kołtuna. Nadmienia pokrótce, że ta choroba podług świadectwa wiarogodnych pisarzów, przy końcu 16go wieku żyjących, dawniéj w Niemczech i Węgrzech między ludem znaną była, że w Bryzgawie, w Alzacyi, Belgii i niektórych okolicach Renu grassowała, i że lud tameczny nazywał ją Marenflechte, twierdząc zabobonnie, że ją zmara nocna uwija. Pomiędzy przyczynami wymienia, jakeśmy już wyżéj wzmiankowali klimat i telluryczne wpływy, daléj zwyczaje narodów i obchodzenie się z pacyentem w chorobie: tutaj zastanawia się nad zwyczajem wieśniaków i nawet uboższych mieszczan, zapuszczania długich włosów i noszenia ciężkich futrzanych czapek, przez większą połowę roku. „Włos długi większéj daleko potrzebuje troskliwości przez codzienne dokładne rozczesywanie głowy, aby i wolną transpiracyą jéj skóry ułatwić, i dążności naturalnéj do zawikłania zapobiedz. A z boleścią przyznać przychodzi, że i zaniedbane wychowanie prostego ludu i byt jego .... daleki od dogodnego, robi go nieczułym na potrzebę porządku i czystości około ciała. *) Co pod tym względem o polskim ludzie wiéjskim powiedzieć wypada, widoczniéj jeszcze przebija się pomiędzy liczną klassą żydów uboższych, pomiędzy którymi kołtuny nader często natrafiamy. Ale za najważniéjszą przyczynę kołtuna kładzie autor „obchodzenie się z głową pomiędzy ludem prostym zaraz od początku jakiéjkolwiek choroby.“ Człek prosty zapadłszy w chorobę, sądząc powszechnie, że na kołtuna choruje, aby wywicie się kołtuna ułatwić i przyspieszyć, stara się od samego początku zwijanie się włosów zdeterminować, i tym sposobem zmusić naturę do zakończenia choroby: ztąd zaniedbują rozczesywania włosów, obtulają ciepło głowę, naparzają, kadzą, skrapiają cieczami irrytującemi, i tym sposobem pomnażają sekrecyą w korzeniach włosów.

O zasadach leczenia kołtuna tak się autor tłumaczy: „doświadczenie nie każe nam się ubiegać za specyficznemi środkami, że kuracyą każdego przypadku, uznanego za chorobę kołtunową, należy zastósować do znanych przepisów ogólnéj terapii: a szczęśliwe nasze kuracye kołtunów niczém inném nie były, tylko szczęśliwém poskromieniem choroby, którą obok kołtunów napotykaliśmy: dla tego w takich razach dochodzenie przyczyny cierpień chorego, nie powinno się kończyć postrzeżeniem, że ma kołtun na głowie; ale właśnie ta komplikacya zaostrzyć powinna naszą ciekawość, i podwoić nasze usiłowanie, do rozpoznania chorobliwego stanu, w którym się istotnie jego organa znajdują.“ Kończy uwagi swoje nad kołtunem zachęceniem rodziców i nauczycieli, aby ci, zwłaszcza po wsiach, starannie czuwali nad czystością dziatek, przestrzegając, aby były często wymyte, wyczesane, i ile możności porządnie ubrane.

Tak nas ta ważna rozprawa światłego lekarza zajęła, żeśmy już podobno przydłuższemi z niéj wyciągami przeszli zamierzone granice, i sami pozbawili się sposobności czynienia błahych naszych uwag nad stylem i sposobem tłumaczenia się pisarza.

---

*) Nie wzmiankuje autor nic o upowszechnioném pomiędzy ludem dość pozorném mniemaniu, że kołtun jest skutkiem używania oleju: len, rzep mają niejakie, choć dalekie z kołtunem podobieństwo, a posty dawniéj nierównie skrupulatniéj obserwowane, zdają się rozwiązywać pytanie, dla czego teraz nierównie rzadzéj i nie tak gwałtownie ta choroba sroży się pomiędzy klassą mieszkańców jeszcze poszczących. Domysł ten zbijają mnichy po klasztorach; ci jak wiadomo najdłużéj pościli, a jednak rzadko kołtuny miewali; nadto okolice naszego kraju nieznające prawie téj choroby. Inną jeszcze przyczynę kołtuna podaje X. Barciszewski w Przewodniku Nrze 8, to jest roślinę, wijącą się około lnu, nazwaną Wyłup.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)